



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jerzy Łukasik

## Wojenna tułaczka

Tydzień po wybuchu Powstania Warszawskiego, a dwa dni po ukończeniu piętnastego roku życia – 7 sierpnia 1944 roku zabrany zostałem z rodziną z domu przy ulicy Grójeckiej 3 (obecnie Hotel Sobieski) przez żołnierzy Wehrmachtu i Ukraińców na tzw. Zieleniak. Trzymano nas tam do następnego dnia po czym przewieziono pociągiem elektrycznym z Dworca Zachodniego do Pruszkowa. Następnie pod eskortą wojska 10 sierpnia zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych i wywiezieni do Oranienburga. Rano 14 sierpnia dotarliśmy na miejsce. Po wyładowaniu transportu zapędzono wszystkich pod strażą na plac alarmowy w koszarach wojskowych, po drugiej stronie obozu. Na tym placu dokonano rozdzielania rodzin. Mnie wraz z ojcem Władysławem przydzielono do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Ustawiono nas w kolejce po prawej stronie głównej bramy, w pobliżu szrajstuby, gdzie nadawano numery. Ja otrzymałem numer obozowy 90037, ojciec – 90038.

Do obozu dostałem się z lewą ręką w gipsie, bo złamałem ją w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Gips założono mi przy ul. Nowogrodzkiej róg Raszyńskiej. Za namową więźniów, z którymi mieliśmy możliwość porozumiewania się przy rejestracji, usunąłem go z ręki. Powiedziano mi, że na kwarantannie nie będę ciężko pracował. Po rejestracji poszliśmy do łaźni, gdzie nas ostrzyżono i wykąpano. Wcześniej włożyliśmy nasze rzeczy osobiste do worków i przekazaliśmy je do depozytu. Po kwarantannie ojca wysłano na komando do Felenzajn, ja natomiast przeniesiony zostałem do bloku 37 i przydzielony do pracy w pralni naprzeciwko kuchni dla więźniów. Po jakimś czasie z bloku 37 przeniesiono mnie do bloku nr 12, sztuba A. Sztubowym był Eryś (a może i blokowym?). Dodatkowe zabezpieczenie bloku młodzieżowego stanowiła brama z drutu kolczastego.

Podczas meczu piłki nożnej na placu alarmowym spotkałem Aleksandra i Leona Lendzionów, którzy pomogli mi przenieść się do pracy w magazynie odzieżowym dla więźniów, gdzie pracowałem do momentu ewakuacji z obozu, czyli do około 21 kwietnia 1945 roku. W czasie transportu spotkałem po drodze ojca. Był wówczas bardzo chory (zabrano go z izby chorych). Podczas noclegu w stodole pan Lendzion, z którym byłem bardzo zaprzyjaźniony oznajmił, że w nocy szykują się do ucieczki i ja też mam być przygotowany. Odpowiedziałem na to, że spotkałem ojca i nie mogę go zostawić, bo jest chory. W tej sytuacji Olek Lendzion zdecydował, że mam pozostać.

W następnych dniach ojciec kilkakrotnie prosił mnie, abym zostawił go w rowie przydrożnym, gdyż nie ma siły dalej iść. Przy pomocy kolegów oraz prymitywnej laski dotarł jednak razem z nami do miejsca noclegu pod miejscowością Schwerin. Następnego dnia, a było to 3 maja 1945 roku, w chwili przebudzenia na łące gdzie spaliśmy nie zauważyliśmy żadnej eskorty. Pozostali tylko więźniowie i ogłupiałe psy (wilczury) – do niedawna takie groźne. Zobaczyliśmy czołgi amerykańskie. Jeden z żoł-

---

nierzy wychylających się z czołgu mówił po polsku. Oświadczył nam, że jesteśmy wolni i dla nas wojna jest już zakończona.

W Schwerinie usłyszałem informację z głośnika zamontowanego na dachu samochodu, że wszyscy więźniowie obozów koncentracyjnych mają się zgłosić do poniemieckich koszar. Tam zostaliśmy zakwaterowani pod nadzorem wojsk amerykańskich.

Nie mogąc się doczekać powrotu do Polski, postanowiliśmy załatwić to we własnym zakresie, czyli na piechotę. Rowery z osobistymi rzeczami zabrali nam żołnierze radzieccy tuż po przekroczeniu przez nas mostu granicznego. Na nasz protest, że jesteśmy wzburzeni i chcemy wrócić do miasta oznajmiono nam, że iść możemy „tolko w pieriod”. Powrót do kraju w takich warunkach zajął nam około miesiąca. Po przybyciu do Warszawy stwierdziliśmy, że wszystko jest w gruzach. W dniu 20 czerwca 1945 roku zgłosiłem się do PCK przy ulicy Pięknej, gdzie zostałem zarejestrowany i otrzymałem 100 złotych zapomogi.